



**Wiktor Pielewin** (ur. 1962) stał się sławny dzięki rosyjskiej Nagrodzie Bookera za tom prozy *Sinij fonar'* (Niebieska latarnia, 1991). Jest autorem książek: *Mały palec Buddy* (1996; W.A.B. 2003), *Życie owadów* (1997; W.A.B. 2004), *Generation ,P'* (1999; W.A.B. 2002), *Święta księga wilkołaka* (2004; W.A.B. 2006), *Hełm grozy* (2006; wyd. pol. 2006) oraz opowiadań wydanych w zbiorze *Omon Ra i inne opowieści* (W.A.B. 2007). W styczniu 2002 roku rosyjska organizacja młodzieżowa popierająca Władimira Putina ogłosiła listę pisarzy i książek „słusznych” i „niesłusznych” – Pielewin otwiera tę drugą. W swoim kraju należy jednak do najpopularniejszych autorów – w 2007 roku czytelnicy przyznali mu nagrodę Bolszaja Kniga za *Empire V* (2006). Rosyjski tekst powieści został w tajemniczych okolicznościach wykradziony z wydawnictwa Eksmo i ukazał się w Internecie przed publikacją książki. W 2008 roku nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukaże się zbiór opowiadań *Kryształowy świat*.

# Wiktor Pielewin

## EMPIRE V

Pielewin wciąż podkopuje naszą wiarę w rzeczywistość.

„The New York Times Book Review”



**Wiktor  
Pielewin**  
EMPIRE **V**



W serii ukazały się:

- Majgull Axelsson *Daleko od Niflheimu* ·  
*Kwietniowa czarownica*
- Attila Bartis *Spokój*
- Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych i takich sobie*
- Thomas Bernhard *Wymazywanie*
- Javier Cercas *Żołnierze spod Salaminy*
- Michel Faber *Bliźnięta Fahrenheit* · *Jabłko* · *Pod skórą* ·  
*Szkarlatny płatek i biały*
- Jonathan Safran Foer *Strasznie głośno, niesamowicie blisko* ·  
*Wszystko jest iluminacją*
- Laurent Gaudé *Słońce Scortów*
- David Gilbert *Normalsi*
- Jan Guillou *Zło*
- Michel Houellebecq *Cząstki elementarne* · *Możliwość wyspy* ·  
*Platforma* · *Poszerzenie pola walki*
- Daniel Kehlmann *Beerholm przedstawia*
- Imre Kertész *Fiasko* · *Ja, inny. Kronika przemiany* · *Kadysz  
za nienarodzone dziecko* · *Likwidacja* · *Los utracony*
- Michaił Kononow *Goła pionierka*
- László Krasznahorkai *Melancholia sprzeciwu* · *Szatańskie  
tango*
- Doris Lessing *Lato przed zmierzchem*
- Karel van Loon *Ojciec i ojciec*
- James Meek *Ludowy akt miłości*
- Harry Mulisch *Odkrycie nieba* · *Procedura*
- Wiktor Pielewin *Generation ,P'* · *Mały palec Buddy* ·  
*Omon Ra i inne opowieści* · *Święta księga wilkołaka* ·  
*Życie owadów*
- W.G. Sebald *Austerlitz* · *Wyjechali*
- Zeruya Shalev *Mąż i żona* · *Życie miłosne*
- Władimir Sorokin *23000* · *Bro* · *Dzień oprycznika* · *Lód*
- Jáchym Topol *Nocna praca* · *Siostra*
- Mo Yan *Kraina wódki* · *Obfite piersi, pełne biodra*
- Oksana Zabużko *Badania terenowe nad ukraińskim seksem*
- Juli Zeh *Instynkt gry* · *Orły i anioły*

# Wiktor Pielewin

## EMPIRE V

**OPOWIĘĆ  
O PRAWDZIWYM NADCZŁOWIEKU**

Przełożyła  
Ewa Rojewska-Olejarczuk

wydawnic  
ab  
two

Tytuł oryginału: *Amnup B*  
Copyright © Victor Pelevin, 2006  
Copyright © for the Polish edition  
by Wydawnictwo W.A.B., 2008  
Copyright © for the Polish translation  
by Wydawnictwo W.A.B., 2008  
Wydanie I  
Warszawa 2008

*Parowóz jest mądrze skonstruowany,  
ale sobie tego nie uświadamia; a zresztą  
jakiż sens miałoby konstruowanie  
parowozu, gdyby nie było w nim  
maszynisty?*

o. Mitrofan Sriebriański



# Brahma

Kiedy odzyskałem przytomność, znajdowałem się w dużym pokoju, zastawionym starymi meblami. Umeblowanie było chyba nawet zabytkowe – rzeźbiona w gwiazdy lustrzana szafa, dziwaczna sekretera, dwa płótna z aktami i mały obrazek z Napoleonem na koniu, spowitym bitewnym kurzem. Całą jedną ścianę zajmowała sięgająca sufitu, niezwykle ozdobna czeczotowa kartoteka. Na jej szufladkach znajdowały się tabliczki z różnokolorowymi napisami i znaczkami, a obok stała biblioteczna drabinka.

Zorientowałem się, że nie leżę, jak przystało komuś, kto wraca do przytomności, ale stoję. Nie osuwałem się na ziemię, bo ręce i nogi miałem mocno przywiązane do drabinki gimnastycznej. Domyśliłem się, że to drabinka gimnastyczna, wymacawszy palcami drewniany szczebel. Inne szczeble wpijały mi się w plecy.

Naprzeciw, pod ścianą, na czerwonej kanapce siedział mężczyzna w czerwonym szlafroku i czarnej masce. Maskę przypominała kształtem ni to wciśnięty aż do ramion cylinder, ni to kartonowy hełm rycerza-psa z filmu *Bitwa na Lodowym Polu*. W okolicy nosa znaj-

dował się ostry występ, w miejscu oczu dwa owalne otwory, a zamiast ust prostokątne wycięcie, zasłonięte czarną szmatką. Tak mniej więcej wyglądali średnio-wieczni lekarze na grawiurach przedstawiających epidemie dżumy w Europie.

Nawet się nie przestraszyłem.

- Dzień dobry - powiedział człowiek w masce.

- Dzień dobry - odrzekłem, z trudem poruszając wargami.

- Jak ci na imię?

- Roman - odparłem.

- Ile masz lat?

- Dziewiętnaście.

- Czemu nie jesteś w wojsku?

Na to pytanie nie odpowiedziałem, uznawszy, że to żart.

- Przepraszam za niejaką teatralność scenerii - ciągnął człowiek w masce. - Jeżeli boli cię głowa, to zaraz przejdzie. Uśpiłem cię specjalnym gazem.

- Jakim gazem?

- Używany przeciwko terrorystom. To nic strasznego, już po wszystkim. I uprzedzam - nie krzycz. Nie ma sensu krzyczeć. To nic nie pomoże. Rezultat będzie tylko jeden - dostanę migreny i cała rozmowa na nic.

Nieznajomy miał pewny, niski głos. Zakrywająca usta szmatka kołysała się w rytm jego słów.

- Kim pan jest?

- Nazywają mnie Brahma.

- A dlaczego jest pan w masce?

- Z wielu powodów - powiedział Brahma. - Ale to dla twojego dobra. Jeżeli nie dojdziemy do porozumienia, będę cię mógł wypuścić bez obawy, że mnie kiedyś rozpoznasz.

Poczułem wielką ulgę, słysząc, że zamierza mnie wypuścić. Ale te słowa mogły być pułapką.

- Czego pan chce? - zapytałem.

- Chcę, żeby w pewnej bardzo ważnej części mego ciała i zarazem mego ducha obudziło się żywe zainteresowanie tobą. Ale to, mój drogi, może nastąpić tylko pod warunkiem, że jesteś szlachetnego arystokratycznego rodu...

„Psychopata - pomyślałem. - Grunt to się nie de-nerwować... Zająć go rozmową...”

- Czemu koniecznie szlachetnego arystokratycznego rodu?

- Jakość czerwonego płynu w twoich żyłach ma duże znaczenie. Szansa jest niewielka.

- A co to znaczy żywe zainteresowanie? - spytałem. - Ma pan na myśli: dopóki jeszcze żyję?

- To śmieszne - powiedział Brahma. - Wygląda na to, że rozmową niczego tu nie osiągnę. Konieczna jest demonstracja.

Wstał z kanapy, podszedł do mnie, odrzucił czarną szmatkę, zasłaniającą mu usta, i nachylił się do mojego prawego ucha. Skuliłem się, czując na twarzy jego oddech - lada chwila mogło się zdarzyć coś ohyd-nego.

„Sam tutaj przyszedłem - pomyślałem. - Że też mnie coś podkusiło!”

Ale nic się nie stało – Brahma pochuchał mi w ucho, odsunął się i wrócił na kanapę.

– Mogłem cię ukąsić w rękę – powiedział. – Ale, niestety, ręce masz związane i ścierpnięte. To nie byłby dobry efekt.

– Przecież sam mi pan związał ręce.

– Tak – westchnął Brahma. – Chyba powinienem cię przeprosić za moje postępowanie. Domyślam się, że to wygląda dziwnie i nieprzyjemnie. Ale zaraz wszystko stanie się dla ciebie jasne.

Rozsiadł się na kanapie, wpatrzył we mnie, jakbym był obrazem w telewizorze, i przez kilka sekund kontemplował, lekko cmokając językiem.

– Nie denerwuj się – powiedział wreszcie – nie jestem maniakiem seksualnym. Co do tego możesz być spokojny.

– No to kim pan jest?

– Jestem wampirem. A wampiry nie są zbrodźcami. Czasem się za takich podają, ale mają zupełnie inne zainteresowania i cele.

„Nie, to nie jest zbrodzeniec – pomyślałem. – To zboczony szaleniec. Muszę ciągle coś mówić, żeby odwrócić jego uwagę...”

– Wampir? Pije pan krew?

– No, może nie szklankami – odrzekł Brahma. – I nie na tym opiera się moja samoidentyfikacja... Ale bywa i tak.

– A po co pan ją pije?

– Jest to najlepszy sposób poznania człowieka.

– Jak to?

Oczy w owalnych otworach kilka razy mrugnęły, a usta pod czarną szmatką powiedziały:

- Kiedyś dwa rosnące na murze drzewa, cytrynowe i pomarańczowe, były nie drzewami jako takimi, ale wrotami do czarodziejskiego i tajemniczego świata. A potem coś się stało. Wrota zniknęły i zamiast nich pozostały tylko dwa prostokątne kawałki materiału, wiszące na ścianie. Zniknęły nie tylko wrota, ale i świat, do którego prowadziły. I nawet straszliwy latający pies, który strzegł wejścia do tego świata, stał się po prostu plecionym wachlarzem z tropikalnego kurortu...

Powiedzieć, że byłem wstrząśnięty - to nie powiedzieć niczego. Czułem się ogłuszony. Te słowa, które każdemu normalnemu człowiekowi wydałyby się kompletną abrakadabramą, były tajemnym kodem mojego dzieciństwa. Najbardziej zaś wstrząsnęło mną to, że sformułować wszystko w ten sposób mógł tylko jeden człowiek na całym świecie - ja sam. Długo milczałem. Wreszcie nie wytrzymałem.

- Nie rozumiem - odezwałem się. - Przypuśćmy, że kiedy byłem nieprzytomny, opowiedziałem o obrazach. Ale o owym czarodziejskim świecie za bramą opowiedzieć nie mogłem. Bo nigdy go tak nie nazywałem. Chociaż kiedy teraz pan o tym wspomniał, widzę, że to wszystko najprawdziwsza prawda, tak. Tak właśnie było...

- A czy wiesz, dlaczego tak się stało? - zapytał Brahma.

- Dlaczego?

- Czarodziejski świat, w którym kiedyś żyłeś, wymyślał ukryty w trawie żuk kowal. A potem przyszła żaba, która go zjadła. I od razu zaczęło ci się lżej żyć, chociaż w twoim pokoju wszystko zostało po dawnemu.

- Tak - powiedziałem skonsternowany. - To też jest prawda... Było dokładnie tak.

- Przypomnij sobie jeszcze coś - zaproponował Brahma - o czym wiesz tylko ty. Cokolwiek. I zadaj mi pytanie - takie, na które odpowiedź także znasz tylko ty.

- Dobrze - odparłem i zamyśliłem się. - No więc, na przykład... W moim domu wisiał na ścianie wachlarz, dopiero co pan o nim wspomniał. W jaki sposób był przymocowany do ściany?

Brahma przymknął oczy w otworach maski.

- Był przyklejony. A klej tworzył literę X. I nie był to tylko krzyżyk, ale właśnie litera X. Oznaczała miejsce, w które chciałeś posłać mamę za to, że powiesiła wachlarz nad łóżkiem\*.

- Jak...

Brahma podniósł rękę.

- Zaczekaj. A przykleiłeś go dlatego, że wachlarz zaczął ci się wydawać psem-wampirem, który kąsa cię po nocach. Oczywiście to kompletna bzdura. I wręcz obraźliwa w stosunku do prawdziwych wampirów.

- Jak się pan o tym dowiedział?

Brahma wstał z kanapy i podszedł do mnie. Uniósł palcem czarną szmatkę i otworzył usta. Zęby miał przebarwione od nikotyny, mocne i duże. Nie

---

\* W alfabecie rosyjskim X czyta się „Ch” (przyp. tłum.).

zauważyłem nic niezwykłego, tylko kły były chyba nieco bielsze niż reszta zębów. Brahma uniósł głowę, tak że bym zobaczył podniebienie. Znajdowała się tam jakaś dziwna falista membrana koloru pomarańczowego – jak przyklepiony do dziąseł fragment mostka dentystycznego.

- Co to jest? – zapytałem.

- J ę z y k – powiedział Brahma, podkreślając to słowo intonacją.

- Język? – powtórzyłem.

- Nie jest to ludzki język. To dusza i istota wampira.

- I nim się pan wszystkiego dowiaduje?

- Tak.

- Jak można się dowiadywać językiem?

- Nie ma sensu tego wyjaśniać. Jeśli chcesz to zrozumieć, musisz sam zostać wampirem.

- Nie jestem pewien, czy chcę.

Brahma wrócił na swoją kanapę.

- Widzisz, Roma – powiedział – nami wszystkimi kieruje los. Przyszedłeś tutaj z własnej woli. A ja mam bardzo mało czasu.

- Zamierza pan mnie uczyć?

- Nie ja. Nauczycielem jest nie osobowość wampira, lecz jego natura. A nauczanie polega na tym, że wampir kąsa ucznia. Nie znaczy to jednak, że każdy człowiek, ukąszony przez wampira, staje się wampirem. Jak mawia się w złych filmach, he-he, coś takiego zdarza się tylko w złych filmach...

Roześmiał się z własnego dowcipu. Ja też spróbowałem się uśmiechnąć, ale marnie mi to wyszło.

- Istnieje specjalny rodzaj ukąszenia - podjął Brahma - do którego wampir jest zdolny tylko raz w życiu. I tylko wtedy, kiedy zechce tego język. Zgodnie z tradycją, zdarza się to w dniu letniego przesilenia. Ty się nadajesz. Mój język przejdzie w ciebie.

- Jak to przejdzie?

- Dosłownie. Fizycznie. Uprzedzam cię, że to będzie bolesne. I w trakcie, i potem. Będziesz się źle czuł. Jak po ukąszeniu jadowitej żmii. Ale stopniowo wszystko minie.

- A nie mógłby pan sobie znaleźć innego ucznia?

Nie zwrócił uwagi na te słowa.

- Możesz na jakiś czas stracić przytomność. Cały zdrętwiejesz. Niewykluczone są halucynacje. Chociaż mogą też nie wystąpić. Ale jedno wydarzy się na pewno.

- Co?

- Przypomniesz sobie całe swoje życie. Język będzie się zaznajamiać z twoją przeszłością - musi wiedzieć o tobie wszystko. Podobno coś podobnego dzieje się, kiedy człowiek tonie. Ale ty jesteś jeszcze bardzo młody i tonąć będziesz niezbyt długo.

- A co pan będzie robił w tym czasie?

Brahma jakoś dziwnie parsknął.

- Tym się nie przejmuj. Mam dokładnie przemyślany plan działania.

To mówiąc, zbliżył się, chwycił mnie ręką za włosy i przygiął mi głowę do ramienia. Spodziewałem się, że mnie ukąsi, ale on ukąsił sam siebie - w palec. Jego dłoń momentalnie załała się krwią.

- Nie ruszaj się - powiedział - tak będzie dla ciebie lepiej.

Widok krwi przestraszył mnie i usłuchałem. Brahma przytknął zakrwawiony palec do mego czoła i coś na nim napisał. A potem bez żadnego ostrzeżenia wpił mi się zębami w szyję.

Krzyknąłem, a właściwie zamuczałem – trzymał moją głowę, tak że nie mogłem otworzyć ust. Ból w szyi był nie do zniesienia – jakby szalony dentysta wbił mi pod szczękę elektryczne wiertło. Była taka sekunda, kiedy pomyślałem, że nadeszła śmierć, i pogodziłem się z nią. I nagle wszystko się skończyło – puścił mnie i szarpnąłem się w tył. Na policzku i szyi czułem krew; krwią wymazana była jego maska i szmatka zasłaniająca usta.

Zrozumiałem, że to nie moja krew, tylko Brahmy – sphywała mu z ust po szyi, po piersi, po czerwonym szlafroku i gęstymi kroplami skapywała na podłogę. Coś mu się stało – można by pomyśleć, że to on został pokąsany, a nie ja. Chwiejnym krokiem wrócił na swoją czerwoną kanapę i usiadł; jego nogi konwulsyjnie zaszurały po parkiecie.

Przypomniałem sobie film Tarkowskiego *Andriej Rublow*, w którym pokazano średniowieczną egzekucję: oprawcy wlewali mnichowi w usta płynny metal. Przez cały czas przed kaźnią mnich straszliwie wymyślał swoim katom, ale gdy włali mu metal w gardło, nie powiedział już ani słowa, tylko drgał całym ciałem. I najstraszniejsze było to jego milczenie. Równie straszne wydało mi się milczenie mojego rozmówcy.

Nie przestając podrygiwać nogami, sięgnął do kieszeni szlafrocka, wyjął mały niklowany pistolet i szybko strzelił sobie w głowę – w bok cylindrycznej maski,

skrywającej jego twarz. Głowa szarpnęła się z boku na bok, ręka opadła na kanapę i Brahma znieruchomiał.

W tym momencie poczułem w szyi, pod szczęką, jakiś słaby ruch. Nic nie bolało – zupełnie jakbym dostał narkozę – ale było nieprzyjemnie. Już traciłem przytomność i to, co się działo, docierało do mnie coraz słabiej. Ogarnęła mnie niepowstrzymana senność.

Brahma mówił prawdę. Zaczęła mi się majaczyć przeszłość – jakby w mojej głowie utworzyła się mała, przytulna sala kinowa, w której rozpoczęto pokaz dokumentalnego filmu o moim dzieciństwie. Jakie to dziwne, myślałem, przecież od samego początku bałem się właśnie wampirów...

## Miasto Słońca

Od urodzenia mieszkałem z matką w Moskwie, w domu stowarzyszenia dramaturgów niedaleko stacji metra Sokoł. Dom był zbudowany według najwyższych radzieckich standardów – z beżowej cegły, wielopiętrowy i jakby w zachodnim stylu. W takich budynkach mieszkała nomenklatura KC i wybrani przedstawiciele radzieckiej elity intelektualnej – dokoła zawsze było pełno czarnych wołg z kogutami na dachach, a na klatkach schodowych wały się w obfitości niedopałki najlepszych amerykańskich papierosów. Zajmowaliśmy z matką niewielkie dwupokojowe mieszkanie w rodzaju tych, które w krajach zachodnich określa się jako *one bedroom*.

Właśnie w tym *bedroomie* dorastałem. Mój pokój pomyślany był przez architekta jako sypialnia – małe i podłużne, z niewielkim oknem, z którego rozpościerał się widok na parking. Nie mogłem go urządzić według własnego gustu: matka wybierała kolor tapet, decydowała, gdzie ma stać łóżko, a gdzie biurko, i ustalała nawet, co będzie wisiało na ścianach. Doprowadzało to do awantur – raz nazwałem ją „władzą

radziecką w miniaturze”, po czym nie odzywaliśmy się do siebie przez cały tydzień.

Nie było dla niej nic bardziej obraźliwego niż te właśnie słowa. Moja matka, „wysoka, chuda kobieta o zwiędłej twarzy”, jak opisał ją kiedyś dzielnicowemu nasz sąsiad dramaturg, kiedyś należała do kręgów dysydenckich. Dla przypomnienia tego epizodu często puszczała gościom taśmę, na której baryton jakiegoś przeciwnika systemu recytował demaskatorskie wiersze, a głos matki z drugiego planu podrzucił ostre repliki.

Baryton deklamował:

Jadę metrem - w dzień zwykły czy święta -  
Dwaj tajniacy mi depczą po piętach.  
W monopolu kupuję pół litra -  
Dwaj tajniacy filują z za winkla...

- A teraz powiedz ten o chuju z brwiami i ten kawałek z Sołżenicyna! - wstawiała młodym głosem matka.

W ten sposób po raz pierwszy usłyszałem wulgarne słowo, które szczęśliwe dzieci okresu pierestrojki poznawały zazwyczaj od chichoczących kolegów w przedszkolnej sypialni. Za każdym razem przy słuchaniu tej taśmy mama tłumaczyła, że w tym kontekście wulgaryzm jest uzasadniony artystycznie. Słowo „kontekst” było dla mnie nawet bardziej zagadkowe niż „chuj” - za tym wszystkim wyczuwałem tajemniczy i groźny świat dorosłych, w którego kierunku dryfowałem, popychany dmącym z telewizora wichrem przemian.

Wywrotowa kasetą została nagrana na wiele lat przed moim urodzeniem; sugerowało to, że matka wycofała się z aktywnej walki z powodu zamążpójścia, które zaowocowało moim przyjściem na świat. Wydaje się jednak, że związków mojej matki z rewolucyjną demokracją, w których ponurym blasku upłynęło moje dzieciństwo, pogrążony w marazmie radziecki reżym jakoś nie dostrzegł.

Na prawo od mojego łóżka ścianę zdobiły dwa małe obrazki. Były jednakowych rozmiarów (czterdzieści centymetrów szerokości i pięćdziesiąt wysokości – pierwsze, co zmierzyłem linijką z kompletu „wyprawka pierwszoklasisty”). Jeden przedstawiał drzewko cytrynowe w donicy, drugi – takie samo drzewko pomarańczowe. Różny był tylko kształt i kolor owoców: wydłużone żółte i okrągłe pomarańczowe.

Nad łóżkiem zaś, nad moją głową, wisiał pleciony wachlarz w kształcie serca. Był zbyt duży, żeby się nim wachlować. We wgłębieniu między wypukłościami serca znajdowała się okrągła rączka, przez co wachlarz przypominał gigantycznego nietoperza z maleńkim łebkiem. Na środku pomalowany był czerwonym lakierem.

Wydawało mi się, że jest to pies latający – wampir (czytałem o nich w piśmie „Naokoło świata”), który ożywa nocami, a w dzień odpoczywa na ścianie. Wypiła krew prześwitywała mu przez skórę jak przez brzuszek komara, i dlatego na środku wachlarza widniała czerwona plama.

Krew, jak się domyślałem, była moja.

Zdawałem sobie sprawę, że te lęki to echo historii, jakich się nasłuchiwałem na letnich obozach (powtarzały się bez zmian z turnusu na turnus). Regularnie jednak miewałem koszmary, z których budziłem się zlany zimnym potem. Wreszcie doszło do tego, że zacząłem się bać ciemności – wręcz fizycznie czułem obecność rozpostartego na ścianie psa-wampira i musiałem zapalać światło, by znów stał się wachlarzem z palmowych liści. Skarżyć się matce nie było sensu. Ograniczyłem się więc do tego, że w tajemnicy przed nią przylepiłem wachlarz do tapety klejem Minutka. I wtedy strach minął.

Swoje pierwsze wyobrażenie wszechświata także przywoziłem z obozu letniego. W jednym z nich zobaczyłem niesamowity fresk: płaski dysk ziemi spoczywał na trzech wielorybach pośród bładoniebieskiego oceanu. Z ziemi wyrastały drzewa, sterczały słupy telegraficzne i nawet pomiędzy nagromadzeniem jednakowych białych domów jechał wesoły czerwony tramwaj. Na boku ziemskiej tarczy napisane było: ZSRR. Wiedziałem, że urodziłem się w tym ZSRR, który później się rozpadł. To było trudne do zrozumienia. Wychodziło, że domy, drzewa i tramwaje pozostały na miejscu, a grunt, na którym się znajdowały, zniknął... Byłem jednak jeszcze mały, i mój umysł pogodził się z tym paradoksem tak samo, jak godził się z setkami innych. Zwłaszcza że podłoże ekonomiczne radzieckiej katastrofy zacząłem już rozumieć: kraj, który wysyłał dwóch oficerów w cywilu tam, gdzie w normalnych społeczeństwach wystarcza zasiłek dla bezrobotnych, nie mógł skończyć inaczej.

Ale to były niewyraźne cienie dzieciństwa.

Tak naprawdę zapamiętałem siebie w momencie, kiedy dzieciństwo się skończyło. Stało się to, gdy oglądałem w telewizji stary film rysunkowy: na ekranie maszerowała kolumna karzełków, szczęśliwych niziołków z radzieckiego komiksu. Karzełki wesoło wymachiwały rączkami i śpiewały:

Zjawiała się żabusia.  
Co ma zielone brzusio,  
Co ma zielone brzusio -  
Żuka kowala chaps!  
I ani myślał biedak,  
I ani się spodziewał,  
I ani się spodziewał,  
Że skończy właśnie tak...

Od razu zrozumiałem, o jakiego kowala chodzi: był to muskularny budowniczy nowego świata, który wymachiwał młotem na starych plakatach, kalendarzach ściennych i znaczkach pocztowych. Wesołe karzełki przesyłały Związkowi Radzieckiemu ostatni salut ze swego Słonecznego Miasta, do którego nie udało im się trafić.

Patrzyłem na kolumnę karzełków i płakałem. Nie chodziło jednak o nostalgię za ZSRR, którego nie pamiętałem. Karzełki maszerowały pośród olbrzymich, przewyższających je kwiatów - dzwoneczków. Te olbrzymie dzwonki nagle przypomniały mi o czymś prostym i bardzo istotnym, o czym już zapomniałem.

Zrozumiałem, że przyjazny dziecięcy świat, w którym wszystkie przedmioty wydawały się równie wiel-

kie jak te kwiaty, a szczęśliwych dróg było tyle, ile w filmie, na zawsze pozostał w przeszłości. Zagubił się w trawie, w której siedział żuk kowal, i było jasne, że teraz trzeba będzie mieć do czynienia z żabusią – im dalej, tym bardziej konkretnie...

Rzeczywiście miała zielone brzusio, a grzbiet czarny, i na każdym rogu działało jej opancerzone przedstawicielstwo, tak zwany k a n t o r. Dorośli wierzyli tylko jej, ale ja czułem, że kiedyś zawiedzie także żabusia – a kowala nie da się przywrócić...

Poza karzełkami z filmu nikt tak naprawdę nie pożegnał się z absurdalną krainą, w której się urodziłem. Nawet trzy wieloryby, na których spoczywała, udawały, że nie mają z tym nic wspólnego, i otworzyły sklep meblowy (reklamę sklepu puszczano w telewizji: „Trzy wieloryby, wieloryby – a cała reszta jest na niby...”).

O dziejach swojej rodziny nie wiedziałem nic. Niektóre jednak z otaczających mnie przedmiotów nosiły piętno jakiejś ponurej tajemnicy.

Po pierwsze, był to stary czarno-biały sztych, przedstawiający kobietę-lwicę z uwodzicielsko odrzuconą głową, obnażonymi piersiami i potężnymi szponiastymi łapami. Sztych wisiał w przedpokoju pod małą lampką, przypominającą wieczny kaganek. Lampka dawała skąpe światło i rycina w półmroku wydawała się magiczna i przerażająca.

Wyobrażałem sobie, że taka istota czeka na ludzi „za grobem”. Wyrażenie to, które matka często powtarzała, zapamiętałem, jeszcze zanim zacząłem rozumieć jego sens (rzeczy tak skomplikowanej i abstrakcyjnej jak zakończenie istnienia nie mogłem sobie wyobrazić:

zdawało mi się, że śmierć to po prostu przeprowadzka w miejsce, do którego prowadzi ścieżka między łapami sfinksa).

Kolejnym posłańcem z przeszłości były srebrne sztuce z herbem: łukiem ze strzałą i trzema lecącymi żurawiami. Znalazłem je w serwantce, którą matka za zwyczaj zamykała na klucz.

Skrzyczawszy mnie za ciekawość, powiedziała, że jest to herb baronów kurlandzkich von Storchwinkel. Z tej rodziny wywodził się mój ojciec. Nasze nazwisko było mniej arystokratyczne – Sztorkin. Matka wyjaśniła mi, że ta modyfikacja nazwiska to wynik kamuflażu stosowanego często w epoce komunizmu wojennego.

Ojciec odszedł od nas zaraz po moim urodzeniu; mimo starań nie udało mi się dowiedzieć o nim nic więcej. Gdy tylko poruszałem ten temat, matka robiła się blada, zapalała papierosa i mówiła za każdym razem to samo – najpierw cicho, a potem stopniowo przechodząc na krzyk:

– Poszedł sobie. Słyszysz? Poszedł sobie, drań! Poszedł sobie, łajdak!

Fantazjowałem oczywiście, że wiąże się z tym jakaś ponura i romantyczna tajemnica. Ale kiedy przeszedłem do ósmej klasy, matka zaczęła porządkować dokumenty dotyczące przydziału mieszkania i wtedy dowiedziałem się o ojcu więcej.

Był dziennikarzem w dużej gazecie; znalazłem nawet w Internecie hasło o nim. Z malutkiej fotografii nad słupkiem tekstu spoglądał sympatycznie łysy mężczyzna w okrągłych okularach, a artykuł głosił, że Rosja nigdy nie będzie normalnym krajem, dopóki

naród i władza nie nauczą się szanować cudzej własności.

Myśl była słuszna, ale jakoś do mnie nie przemówiła. Może dlatego, że ojciec często używał wyrażeń, których wtedy nie rozumiałem („plebs”, „odpowiedzialne elity”). Uśmiech na twarzy ojca obudził we mnie zabarwioną zazdrością niechęć: był wyraźnie skierowany nie do mnie, ale do odpowiedzialnych elit, których własność miałem się nauczyć szanować.

Przed maturą zacząłem się zastanawiać nad wyborem zawodu. Kolorowe magazyny i reklamy wyraźnie wskazywały cele, ku którym należało skierować życie, natomiast metody, jakimi można osiągnąć sukces, okazały się ściśle tajne.

- Jeśli ilość cieczy przepływającej rurą w jednostce czasu nie zmienia się lub wzrasta w funkcji liniowej - powtarzał często na lekcji nauczyciel fizyki - logiczne jest założenie, że nowi ludzie nie pojawią się przy tej rurze bardzo długo.

Brzmiało to przekonywająco, zapragnąłem więc odejść od tej rury jak najdalej - zamiast pchać się do niej razem ze wszystkimi. Postanowiłem zdawać do Instytutu Krajów Azji i Afryki, nauczyć się jakiegoś egzotycznego języka i wyjechać do pracy w tropiki.

Przygotowanie kosztowało drogo i matka stanowczo odmówiła płacenia za korepetycje. Wiedziałem, że powodem nie jest jej skąpstwo, ale ubóstwo domowego budżetu, i nie miałem pretensji. Wzmianka o ojcu skończyła się jak zwykle awanturą. Matka powiedziała, że prawdziwy mężczyzna powinien od samego początku przebijać się sam.

Chętnie bym się przebił – problem jednak polegał na tym, że nie miałem pojęcia, dokąd i jak. Mętna mgła wokół mnie nie stawiała oporu, ale małe były szanse, że znajdę w niej drogę do pieniędzy i światła.

Oblałem od razu pierwszy egzamin, który nie wiadomo dlaczego pisaliśmy na wydziale fizyki MGU. Temat brzmiał: *Obraz ojczyzny w moim sercu*. Napisałem o filmie, w którym karzełki śpiewały o żuku kowalu, o rozpiłowanym krążku hokejowym z napisem „ZSRR” i o skurwionych wielorybach... Wiedziałem oczywiście, że zdając na tak prestiżową uczelnię, nie należy mówić prawdy, ale nie miałem wyjścia. Jak mi potem powiedziano, zgubiło mnie zdanie: „A jednak jestem patriotą – kocham nasze okrutne, niesprawiedliwe społeczeństwo żyjące w wiecznej marzłoci”. Po słowie „społeczeństwo” powinienem był postawić przecinek.

W czasie pożegnalnej wizyty w komisji egzaminacyjnej zobaczyłem przypięty na drzwiach rysunek, przedstawiający wesołego ślimaka (tak jak mój ojciec na zdjęciu w Internecie, uśmiechał się wyraźnie do kogoś innego). Pod rysunkiem był wiersz jakiegoś staro-japońskiego poety:

O Ślimaku! Wspinając się ku szczytowi Fudzi,  
możesz się nie śpieszyć...

Wyjąłem długopis i dopisałem:

Tam, na szczycie Fudzi, i tak jest pełno ślimaków.

Była to moja pierwsza życiowa porażka. Zrewanżowałem się losowi, podejmując pracę tragarza w supermarkecie koło mojego domu.

Przez pierwszych kilka dni zdawało mi się, że zanurkowałem na samo dno życia i że nie dotyczą mnie już prawa darwinizmu socjalnego. Wkrótce jednak zrozumiałem, że przed tymi prawami nie chroni żadna głębia, żadne getto, ponieważ każda komórka organizmu społecznego żyje według tych samych zasad, co społeczeństwo jako całość. Pamiętam nawet, w jakich okolicznościach olśniła mnie ta myśl (w tym momencie balansowałem na krawędzi jasnowidzenia, ale to się wyjaśniło o wiele później).

Oglądałem angielski film *Diuna*, w którym podróżnicy międzygwiazdne realizowali tak zwani nawigatorzy, istoty stale zażywające specjalny narkotyk, który zamieniał je w coś pośredniego między człowiekiem a pterodaktylem. Nawigator rozpościerał swoje błoniaste skrzydła, pochłaniał przestrzeń i flotylla statków kosmicznych przenosiła się z jednej części kosmosu w drugą... Wyobraziłem sobie, że gdzieś w Moskwie takie samo potworne stworzenie rozpościera skrzydła nad światem. Ludzie niczego nie zauważają i jak mrówki pełzną w swoich sprawach, ale żadnych spraw już nie mają. Jeszcze nic nie wiedzą, a tymczasem otacza ich już inny wszechświat i działają nowe prawa.

Prawa te działały również w świecie tragarzy - należało w nim prawidłowo (nie poniżej i nie powyżej określonej normy) kraść, należało mieć chawirę, należało walczyć o miejsce bliżej niewidocznego słońca, przy czym walczyć nie jak popadnie, ale przy użyciu

uświęconych obyczajem chwyków. Czyli tutaj też była jakaś Fudzi, choć niewysoka i zapluta.

Czyż trzeba mówić, że i tu przy wspinaczce zostałem z tyłu? Zaczęto mnie wyznaczać na nocne zmiany po kilka razy z rzędu i robić ze mnie kozła ofiarnego wobec zwierzchników. Bycie loserem wśród tragarzy okazało się nie do zniesienia i kiedy zaczęło się drugie lato po ukończeniu szkoły, rzuciłem robotę.

Dopóki jeszcze miałem zarobione w supermarkecie pieniądze (razem z ukradzionymi nie było tego tak mało), mogłem zachować względną niezależność od matki i kontakty z nią ograniczyłem do minimum. Właściwie sprowadzały się one do jednego, jedyne go rytuału – czasem matka zatrzymywała mnie w przedpokoju i mówiła:

- No, spójrz mi w oczy!

Była przekonana, że biorę narkotyki, i uważała, że potrafi określić, kiedy jestem na haju, a kiedy nie. Niczego nie zażywałem, ale matka sądziła, że codziennie strzelam sobie działkę, a czasem nawet znajduję się pod działaniem kilku różnych środków odurzających. Wyrok zapadał nie na podstawie rozmiarów źrenic czy stopnia przekrwienia białek, ale jakichś szczególnych oznak, które matka trzymała w sekrecie, żebym się nie nauczył maskować – dlatego też nie sposób było zakwestionować jej ekspertyzy. A zresztą nie kwestionowałem, wiedząc, że będzie to dla niej dodatkowy argument („Robisz się po narkotykach taki agresywny, że coś okropnego!”).

Matka miała poza tym spore zdolności hipnotyczne: wystarczyło, że powiedziała na przykład:

„Jak mówisz, słowa po prostu ci skaczą!” – a słowa rzeczywiście zaczynały mi skakać, chociaż przedtem nie miałem w ogóle pojęcia, co to określenie może oznaczać. Dlatego kiedy matka zaczynała się za bardzo czepiać, zabierałem się i wychodziłem z domu na kilka godzin.

Pewnego letniego dnia mieliśmy kolejną narkotykową awanturę. I tym razem była ona szczególnie burzliwa; poczułem, że dłużej tego nie zniosę. Wychodząc z mieszkania, nie wytrzymałem i oznajmiłem:

– Koniec. Wyprowadzam się.

– Miło słyszeć – odparła z kuchni matka.

Ale ani ona, ani ja oczywiście nie mówiliśmy tego serio.

W centrum było bardzo przyjemnie – cicho, mało ludzi. Snułem się po uliczkach między bulwarem Twerskim i Sadowym Kolcem, rozmyślając mętnie o czymś, co nie bardzo dawało się ująć w słowa: że Moskwa latem urzeka nie swymi domami i ulicami, ale ulotnym klimatem tajemniczych, nieprawdopodobnych miejsc, w które można z niej wyjechać. Ten klimat był we wszystkim – w wietrzyku, w lekkich obłoczkach, w topolowym puchu (topole tego lata zakwitły wcześniej).

Nagle moją uwagę zwróciła strzałka na chodniku, narysowana zieloną kredą. Obok strzałki był napis w tym samym kolorze:

*Realna szansa wejścia do elity*

*22.06 18.40-18.55*

*Drugiej nie będzie nigdy*

Zegarek wskazywał za piętnaście siódmą. Poza tym był właśnie dwudziesty drugi czerwca, dzień letniego przesilenia. Strzałka została już mocno zatarta podezwami. Było jasne, że to czyjś żart. Ale zapragnąłem zagrać w tę nie wiadomo przez kogo zaproponowaną grę.

Rozejrzałem się dokoła. Nieliczni przechodnie zmierzali dokądś w swoich sprawach, nie zwracając na mnie uwagi. W oknach pobliskich domów też nie było nic ciekawego.

Strzałka wskazywała bramę. Wszedłem pod jej łukowate sklepienie i zauważyłem drugą zieloną strzałkę na asfalcie w głębi podwórza. Żadnego napisu przy niej nie było. Postąpiłem jeszcze kilka kroków i zobaczyłem małe, posępne podwórko: dwa stare samochody, kontener na śmieci i drzwi tylnego wejścia w otynkowanej ceglanej ścianie. Na asfalcie przed drzwiami widniała jeszcze jedna zielona strzałka.

Takie same strzałki były też na schodach.

Ostatnia znajdowała się na czwartym piętrze – wskazywała okute drzwi kuchennego wejścia do dużego mieszkania. Drzwi były uchylone. Tłumiąc oddech, zajrzałem w szparę i natychmiast odskoczyłem z przest్రachem.

W półmroku za drzwiami stał jakiś człowiek. W rękę trzymał coś, co przypominało lampę lutowniczą. Nie zdążyłem się jednak przyjrzeć, bo człowiek coś zrobił i nastąpiła ciemność.

Tu moje wspomnienia z przeszłości zbliżyły się do terażniejszości na tyle, że przypomniałem sobie, gdzie się znajduję – oprzytomniałem.

# Mitra

Nadal stałem przy drabince gimnastycznej. Strasznie chciało mi się do ubikacji. Poza tym coś było nie w porządku z moimi ustami. Zbadawszy je językiem, zrozumiałem, że wypadły mi z dziąseł górne kły – teraz były tam dwie dziury. Widocznie wyplułem zęby we śnie – bo w ustach ich nie było.

W pokoju pojawił się chyba ktoś żywy – ale nie mogłem skupić wzroku i widziałem przed sobą tylko niewyraźną plamę. Plama usiłowała przyciągnąć moją uwagę, wydając ciche odgłosy i wykonując jednostajne ruchy. Nagle wzrok mi się przejaśnił i zobaczyłem nieznanego mężczyznę w czarnym stroju. Przesuwał mi dłońią przed oczyma, sprawdzając, czy reaguję na światło. Widząc, że przyszedłem do siebie, nieznanomy skinął głową na powitanie i powiedział:

- Mitra.

Domyśliłem się, że to imię.

Mitra był wysokim, szczupłym młodym człowiekiem o ostrym spojrzeniu, z hiszpańską bródką i ledwie zaznaczonym wąsikiem. Miał w sobie coś mefistofelicznego, ale trendy: przypominał postępowego czarta, który zamiast archaicznego służenia złu wstą-

pił na drogę pragmatyzmu i nie stroni od dobra, jeśli to może szybciej doprowadzić do celu.

- Roman - zachrypiałem i popatrzyłem na sofę pod ścianą.

Trupa już na niej nie było. Krwi na podłodze też.

- A gdzie...

- Wyniesiono go - poinformował Mitra. - Niestety, to tragiczne wydarzenie zupełnie nas zaskoczyło.

- Dlaczego on był w masce?

- Zmarły został oszpecony w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

- I dlatego się zastrzelił?

Mitra wzruszył ramionami.

- Nikt nie wie. Zostawił list, z którego wynika, że ty masz być jego następcą...

Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- I wygląda na to, że to prawda.

- Ja nie chcę - powiedziałem cicho.

- Nie chcesz? - powtórzył przeciągle Mitra.

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie rozumiem - rzekł. - Moim zdaniem, powinieneś być szczęśliwy. Jesteś przecież ambitnym chłopcem. Inaczej Brahma by cię nie wybrał. A jedyna perspektywa dla ambitnego chłopca w tym kraju, to robić za klauna u pedałów.

- Wydaje mi się - odparłem - że są też inne możliwości.

- Są. Kto nie chce robić za klauna u pedałów, będzie robić za pedała u klaunów. Za taką samą marną kasę.

Z tym nie próbowałem już dyskutować. Czuło się, że Mitra zna życie nie tylko ze słyszenia.

- A teraz jesteś wampirem - ciągnął. - Po prostu jeszcze sobie nie zdajesz sprawy, jak ci się udało. Odzruc wątpliwości. Tym bardziej że odwrotu tak czy owak nie masz... Lepiej mi powiedz, jak się czujesz?

- Źle - stęknąłem. - Bardzo boli mnie głowa. I muszę do toalety.

- Co jeszcze?

- Wypadły mi zęby. Górne kły.

- Zaraz wszystko sprawdzimy - rzekł Mitra. - Sekundeczkę.

W jego ręku pojawiła się krótka szklana próbówka z czarnym korkiem, do połowy napełniona przezroczystym płynem.

- W tym naczyniu jest wodny roztwór czerwonej cieczy z żyły człowieka. Jest rozcieńczona w stosunku jeden do stu...

- Co to za człowiek?

- Sam się dowiedz.

Nie zrozumiałem, co Mitra miał ma myśli.

- Otwórz usta - polecił.

- To chyba niebezpieczne?

- Nie. Wampir jest odporny na wszelkie choroby przekazywane przez czerwoną ciecz.

Otworzyłem usta i Mitra starannie nakapał mi na język kilka kropel z próbówki. Płyn niczym się nie różnił od zwykłej wody - jeśli była w nim jakaś domieszka, w smaku nie dawało się tego wyczuć.

- Teraz potrzyj językiem o górne dziąsła. Coś zobaczysz. Nazywamy to szlakiem osobowości...

Dotknąłem podniebienia koniuszkiem języka. Było tam teraz coś obcego. Ale nie bolało - czułem tylko lekkie szczypanie, jak od słabego prądu. Kilka razy przesunąłem językiem po dziąsłach i nagle...

Gdybym nie był przywiązany do drabinki, na pewno nie utrzymałbym się na nogach. Raptem doznałem wyraźnego i silnego wrażenia; nie przypominało ono niczego, co dotychczas przeżywałem. Zobaczyłem - a raczej poczułem - innego człowieka. Widziałem go od wewnątrz, jakbym się nim stał, jak to się czasem zdarza we śnie.

W przypominającym zorzę polarną obłoku, jakim był dla mnie ten człowiek, można było rozróżnić dwie strefy - jakby odpychania i przyciągania, ciemności i światła, zimna i ciepła. Wcinały się jedna w drugą mnóstwem kleksów i archipelagów, tak że ich przecięcia wyglądały albo jak ciepłe wyspy na lodowatym morzu, albo jak zimne jeziora na rozgrzanym lądzie. Strefa odpychania pełna była tego, co nieprzyjemne i dokuczliwe - tego, czego ten człowiek nie lubił. Strefa przyciągania natomiast zawierała wszystko, dla czego żył.

Ujrzałem to, co Mitra nazwał „szlakiem osobowości”. Przez obie strefy rzeczywiście przebiegał jakiś trudny do opisania niewidzialny szlak, rodzaj koleiny, w którą uwaga sama się ześlizgiwała. Był to ślad nawyków umysłowych, bruzda wyżłobiona powtarzającymi się myślami - niewyraźna trajektoria, po której dzień po dniu przemieszczała się uwaga. Prześledziwszy szlak osobowości, można było w kilka sekund poznać najważniejsze rzeczy, dotyczące człowieka. Zrozumia-

łem to bez dodatkowych wyjaśnień Mitry – zupełnie jakbym kiedyś już to wiedział sam.

Człowiek pracował jako informatyk w jednym z moskiewskich banków. Miał mnóstwo sekretów przed innymi ludźmi, nawet wstydliwych. Ale jego głównym problemem, hańbą i tajemnicą było to, że słabo się znał na Windowsie. Nienawidził tego systemu jak złego nadzorca. Niekiedy było to aż śmieszne – na przykład, tylko z powodu istnienia Windows Vista wpadał w zły humor na sam dźwięk hiszpańskiego wyrażenia *hasta la vista*. Wszystko, co było związane z pracą, mieściło się w strefie odpychania, a w samym jej centrum łopotała flaga Windows.

W centrum strefy przyciągania był, jak mi się początkowo wydało, seks – ale przyjrzawszy się lepiej, zorientowałem się, że główną radość w tym życiu stanowiło jednak piwo. Mówiąc w uproszczeniu, człowiek ten żył po to, by pić wysokogatunkowe niemieckie piwo zaraz po akcie płciowym – i w imię tego znosił wszystkie przeciwności losu. Możliwe, że sam nie zdawał sobie z tego sprawy – dla mnie jednak było to oczywiste.

Nie mogę powiedzieć, że cudze życie otwarło się przede mną zupełnie. Było tak, jakbym stał przy uchylonych drzwiach do ciemnego pokoju i wodził po malowanej ścianie promieniem latarki. Każdy z obrazów, na którym zatrzymywałem wzrok, przybliżał się i dzielił na mnóstwo innych, i tak po wiele, wiele razy. Mogłem dotrzeć do każdego wspomnienia – ale było ich zbyt dużo. Potem obrazy przyblakły, jakby w latarce siadła bateryjka, i wszystko znikło.

- Widziałeś? - zapytał Mitra.

Kiwnąłem głową.

- Co?

- Informatyk komputerowiec.

- Opisz go.

- Jak waga - powiedziałem. - Na jednej szali piwo, na drugiej Windows.

Mitra nie wydawał się zdziwiony tym dziwnym określeniem. Wpuścił sobie do ust kroplę płynu i przez kilka sekund poruszał wargami.

- Tak - zgodził się. - Windows ch-r-r-r.

Ja też się nie zdziwiłem, słysząc to: komputerowiec wyrażał swoją nienawiść do jednej z wersji obsługiwanego produktu, wymawiając głoski XP po rosyjsku, co brzmiało jak ciche chrupkanie.

- Co ja widziałem? - przerwałem ciszę. - Co to było?

- Twoja pierwsza degustacja. W maksymalnie złagodzonej wersji. Gdyby preparat był czysty, przestałbyś rozumieć, kim naprawdę jesteś. I trwałoby to znacznie dłużej. Jeśli nie jest się przyzwyczajonym, można doznać urazu psychicznego. Ale tak ostro odczuwa się wszystko tylko na początku. Potem się przyzwyczaisz... No cóż, gratuluję. Teraz jesteś jednym z nas. Prawie jednym z nas.

- Przepraszam - odezwałem się. - A kim pan jest? Mitra roześmiał się.

- Proponuję, żebyśmy od razu przeszli na ty.

- Dobrze. Więc kim jesteś, Mitra?

- Jestem twoim starszym kolegą. Co prawda, niewiele starszym. I taką samą istotą jak ty. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

- Skoro mamy zostać przyjaciółmi - powiedziałem - to czy mogę z góry prosić o pewną przyjacielską przysługę?

Mitra uśmiechnął się.

- Oczywiście.

- Czy mógłbyś mnie odwiązać od drabinki? Muszę do toalety.

- Jasne - rzekł Mitra. - Przepraszam cię, ale musiałem się upewnić, czy wszystko przebiegło normalnie.

Kiedy sznury upadły na podłogę, spróbowałem zrobić krok - i przewróciłbym się, gdyby mnie Mitra nie podtrzymał.

- Ostrożnie - przestrzegł - możliwe są problemy z narządem przedsionkowym. To powinno przejść za kilka tygodni, kiedy język całkowicie się przyjmie... Możesz chodzić? Czy ci pomóc?

- Mogę - powiedziałem. - Którędy?

- Korytarzem w lewo. Koło kuchni.

Toaleta, utrzymana w tym samym stylu co mieszkanie, przypominała muzeum sanitarnego gotyku. Usiadłem na czymś w rodzaju czarnego gnostycznego tronu z dziurą pośrodku i próbowałem zebrać myśli. Na próżno - myśli zupełnie nie chciały zebrać się do kupy. I w ogóle gdzieś zniknęły. Nie czułem ani strachu, ani podniecenia, ani niepokoju o to, co będzie dalej.

Wyszedłszy z toalety, zorientowałem się, że nikt mnie nie pilnuje. W korytarzu nie było nikogo. W kuchni też. Tylne drzwi, którymi wszedłem do mieszkania, były zaledwie o kilka kroków, w kuchni. Ale nie myślałem o ucieczce - i to było najdziwniejsze. Wiedzia-

łem, że zaraz wrócę do pokoju i do dalszej rozmowy z Mitrą.

„Dlaczego nie chcę uciekać?” – pomyślałem.

Skądś wiedziałem, że tego robić nie należy. Spróbowałem się zastanowić skąd – i zauważyłem coś bardzo dziwnego. W moim umyśle pojawił się jakby środek ciężkości, jakaś czarna kula, tak niezachwianie stabilna, że równowadze wyposażonej w nią duszy nic nie zagrażało. Właśnie tam były teraz oceniane wszelkie możliwe warianty postępowania – akceptowane lub odrzucane. Myśl o ucieczce została zważona na owej wadze i uznana za zbyt lekką.

Kula chciała, żebym wrócił. Ponieważ zaś chciała tego kula, chciałem i ja. Kula nie informowała mnie o tym, czego chce. Raczej toczyła się po prostu w stronę właściwej decyzji – a ja toczyłem się tam wraz z nią. „To dlatego Mitra wypuścił mnie z pokoju – zrozumiałem. – Wiedział, że nie ucieknę”. Domyślałem się, skąd Mitra to wiedział. Wewnątrz miał taką samą kulę.

– Co to jest? – zapytałem, wróciwszy do pokoju.

– O czym mówisz?

– Mam teraz w środku jakieś jądro. I wszystko, co próbuję myśleć, przechodzi przez nie. Zupełnie jakbym... utracił duszę.

– Straciłeś duszę? – powtórzył Mitra. – A po co ci ona?

Widocznie na mojej twarzy odbiło się zaskoczenie, bo się roześmiał.

– Dusza – to ty czy nie ty? – zapytał.

– W jakim sensie?

- Dosłownym. Co nazywasz duszą - siebie czy coś innego?

- Chyba siebie... Albo nie, raczej coś innego...

- Pomyślmy logicznie. Jeżeli dusza to nie ty, tylko coś innego, to dlaczego miałbyś się o nią martwić? A jeżeli to ty, to jak mogłeś ją utracić, skoro ty sam jesteś tutaj?

- Tak - powiedziałem - gadane to ty masz, jak widzę.

- Ciebie też nauczymy. Wiem, dlaczego się pocisz.

- Dlaczego?

- Szok kulturowy. W ludzkiej mitologii uważa się, że ten, kto zostaje wampirem, traci duszę. To brednie. Tak samo można by powiedzieć, że łódź traci duszę, kiedy zamontowują na niej silnik. Niczego nie straciłeś. Tylko zyskałeś. Ale zyskałeś tak wiele, że wszystko, co wiedziałeś wcześniej, skurczyło się do zera. Stąd poczucie utraty.

Usiadłem na kanapie, na której jeszcze niedawno leżał trup człowieka w masce. Mnie samemu zapewne nieprzyjemnie byłoby siedzieć w tym miejscu, ale ciężkiej czarnej kuli w moim wnętrzu było wszystko jedno.

- Nie mam poczucia straty - powiedziałem. - Nie mam nawet poczucia, że ja to ja.

- I słusznie - odparł Mitra. - Teraz jesteś inny. To, co ci się wydaje jądrem - to język. Przedtem ten język żył w Brahmie. Teraz żyje w tobie.

- Pamiętam - rzekłem. - Brahma mówił, że jego język przejdzie we mnie...

- Tylko nie myśl sobie, że to język Brahmy. To Brahma był ciałem języka, a nie odwrotnie.

- Wobec tego czyj to jest język?

- Nie można mówić, że on jest czyjś. Jest swój własny. Osobowość wampira dzieli się na głowę i język. Głowa to ludzki aspekt wampira. Jednostka społeczna z całym dobrodziejstwem inwentarza. Język zaś - to drugi ośrodek osobowości, najważniejszy. Właśnie on czyni cię wampirem.

- Więc czymże jest język?

- To inna żywa istota. Wyższej natury. Język jest nieśmiertelny i przechodzi od jednego wampira do drugiego - a raczej przesiada się z jednego człowieka na drugiego, jak jeździec. Ale istnieć może tylko w symbiozie z ciałem człowieka. O, popatrz!

Mitra wskazał na obrazek z Napoleonem na koniu. Napoleon był podobny do pingwina i przy pewnym wysiłku można było dostrzec na obrazie cyrkowy numer: pingwina jadącego na koniu w otoczeniu fajerwerków...

- Czuję język nie ciałem - odezwałem się - ale jakoś inaczej.

- Prawdłowo. Sztuczka polega na tym, że świadomość języka zlewa się ze świadomością człowieka, w którym zamieszkał. Porównałem wampira do jeźdźca, ale bardziej trafna analogia to centaur. Niektórzy twierdzą, że język podporządkowuje sobie ludzki umysł. Właściwsza jest jednak teza, że język podciąga umysł człowieka do swojego, wyższego poziomu.

- Wyższego? - powtórzyłem. - Ja mam całkiem odwrotne uczucie, jakbym się zapadł w jakąś jamę. Jeżeli

to jest wyższy poziom, to dlaczego jest mi teraz... tak ciemno?

Mitra prychnął.

- Ciemno może być i pod ziemią, i wysoko w niebie. Wiem, jak się teraz czujesz. To trudny okres i dla ciebie, i dla języka. Można by rzec, drugie narodziny. Dla ciebie w sensie metaforycznym, a dla języka w jak najbardziej dosłownym. Dla niego jest to nowa inkarnacja, ponieważ cała ludzka pamięć i wiedza, nagromadzone przez wampira, znikają, kiedy język przechodzi w inne ciało. Jesteś czystą, niezapisaną kartą. Nowo narodzonym wampirem, który musi się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć.

- Czego?

- Wkrótce zostaniesz subtelną osobowością o wysokiej kulturze, kimś znacznie przewyższającym intelektualnie i fizycznie większość ludzi.

- Jak zdołam to osiągnąć w krótkim czasie?

- Mamy specjalne metody nauczania, bardzo efektywne i szybkie. Ale tego, co najważniejsze, nauczy cię język. Przestaniesz go postrzegać jako coś obcego. Zlejecie się w jedną całość.

- Czy to znaczy, że język wyzera jakąś część mózgu?

- Nie - powiedział Mitra. - Język zastępuje migdały i wchodzi w kontakt z korą mózgową. Faktycznie do twojego mózgu zostaje dodany mózg uzupełniający.

- Ale pozostanę sobą?

- W jakim sensie?

- Czy nagle się nie okaże, że to już nie ja?

- W każdym wypadku ty jutrzejszy nie będziesz już sobą dzisiejszym. A pojutrze tym bardziej. Jeśli tak czy owak coś ma się wydarzyć, niech przyniesie to korzyść. Czyż nie mam racji?

Wstałem z kanapy i zrobiłem kilka kroków po pokoju. Każdy krok przychodził mi z trudem, co przeszkadzało myśleć. Czułem, że Mitra umyślnie przegina albo po prostu kpi sobie ze mnie. Ale w moim obecnym stanie nie potrafiłem z nim dyskutować.

- Co mam teraz robić? - spytałem. - Wrócić do domu?

Mitra przecząco pokręcił głową.

- W żadnym razie. Teraz będziesz mieszkał w tym mieszkaniu. Rzeczy osobiste zmarłego już wywieziono. Cała reszta to twoje dziedzictwo. Ucz się.

- Jak?

- Będą do ciebie przychodzić nauczyciele. Przyzwyczajaj się do swej nowej jakości. I do nowego imienia.

- Jakiego nowego imienia?

Mitra wziął mnie za ramię i odwrócił twarzą do lustrzanej szafy. Wyglądałem strasznie. Mitra wskazał palcem moje czoło. Zobaczyłem tam zaschnięty brązowy napis i przypomniałem sobie, jak Brahma przed śmiercią napisał mi coś krwią na czole.

- A-M-A-B - przesylabizowałem - nie, A-M-A-K...

- Rama - poprawił Mitra. - Wampiry noszą imiona bogów, to bardzo stary obyczaj. Ale każdy bóg jest inny. Zastanów się nad sensem swojego imienia. To latarnia, która będzie ci oświetlać drogę.

Umilkł, najwyraźniej oczekując pytania. Ale ja nie miałem żadnych pytań.

- To o latarni to taki utarty zwrot - wyjaśnił Mi-tra. - Też tradycja. Ale tak naprawdę, to i bez latarni nie zabłądzisz. Albowiem wampiry mają jedną drogę. I spacerować nią można tylko w jedną stronę, czy z latarnią, czy bez.

I wybuchnął śmiechem.

- Teraz muszę już iść - powiedział. - Spotkamy się w czasie wielkiego grzechowtajemniczenia.

Pomyślałem, że to żart.

- A cóż to takiego?

- Jest to coś w rodzaju egzaminu na prawo bycia wampirem.

- Słabo mi idzie na egzaminach - wyznałem. - Zawalam je.

- Nigdy nie obwiniaj się o coś, o co można obwinić system. Napisałeś bardzo dobrą pracę, szczerą i świeżą. Ta praca świadczy wręcz o twoim talencie literackim. Po prostu na szczycie Fudzi czekano na inne ślimaki.

- Ukąsiłeś mnie?

Kiwnął głową, sięgnął do kieszeni i wyjął cieką szklaną rurkę wielkości papierosa, zatkaną na obu końcach plastikowymi koreczkami. Było w niej kilka kropel krwi.

- Oto twoje dossier. Inni też się z nim zapoznają. Nasi zwierzchnicy.

I popatrzył znacząco gdzieś w górę.

- A teraz sprawy praktyczne. W sekreterze są pieniądze, które mogą ci się przydać. Posiłki będą ci dostarczać z restauracji na dole. Sprzątaczką przychodzi

dwa razy w tygodniu. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, kup.

- Jak ja się mogę pokazać z taką gębą? - zapytałem, wskazując na swoje odbicie.

- To wkrótce przejdzie. Polecę, żeby ci dostarczo-  
no wszystko, czego potrzebujesz. Odzież i obuwie.

- Mam podać rozmiar?

- Nie trzeba - odrzekł i cmoknął. - Znam go.

## Enlil

W dzieciństwie często marzyłem o niesamowitych przygodach. Z pewnością nie odmówiłbym zostania latającym tybetańskim joginem, jak Milarepa, albo uczniem czarnoksiężnika – jak Carlos Castaneda i Harry Potter. Zgodziłbym się też na coś bardziej przyziemnego: zostanie bohaterem kosmosu, odkrycie nowej planety albo napisanie jednej z trzech wielkich powieści, które wstrząsają ludzkimi sercami, przyprowadzając krytyków o zgrzytanie zębami i ciskanie kałem z dna swoich nor.

Ale zostać wampirem... Wysysać krew...

W nocy dręczyły mnie koszmary. Widziałem swoich znajomych – ubolewali nad moim nieszczęściem i przepraszali, że nie potrafili mi pomóc. Nad ranem przyśniła mi się matka. Była smutna i czuła – dawno jej takiej nie pamiętałem na jawie. Przyciskała do oczu chusteczkę z herbem baronów von Storchwinkel i szeptała:

– Ach, Romka, moja dusza strzegła twego snu nad łóżeczkiem. Ale ty przylepiłeś mnie do ściany klejem Minutka i odtąd już w niczym nie mogłam ci pomóc!

Nie wiedziałem, co odrzec, ale z pomocą przyszedł mi język, który uważnie oglądał te sny razem ze mną (zapewne nie odczuwał szczególnej różnicy między snem a jawą):

- Za pozwoleniem, nie jest pani jego mamą - przemówił moim głosem. - Jego mama powiedziałaaby, że on ten klej wącha.

I wtedy się obudziłem.

Leżałem w ogromnym łóżu pod haftowanym, brązowo-złotym baldachimem. Taka sama brązowo-złota stora zasłaniała okno; umeblowanie było pseudogotyckie. Na stoliku nocnym obok łóża stał czarny ebonitowy telefon, stylizowany na lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku.

Wstałem i powlokłem się do łazienki.

Aż odskoczyłem na widok swego odbicia w lustrze. Połowę mojej twarzy zajmowały fioletowoczarne sińce pod oczami, jakie występują przy wstrząśnieniu mózgu. Wczoraj ich jeszcze nie było. Wyglądały okropnie. Cała reszta jednak nie przedstawiała się tak źle. Krew zmyłem wczoraj; na szyi pod szczęką została tylko czarna zaschnięta dziurka, przypominająca ślad przytkniętego do skóry gwoździa. Nie krwawiła i nie bolała - aż dziw, że taka malutka ranka mogła mi sprawić tak straszny ból.

Jama ustna wyglądała normalnie, tylko lekko opuchnięte podniebienie pokrył gęsty pomarańczowy nalot. Miejsce, na którym się znajdował, było trochę odrętwiałe. Dziury po kłach nieprzyjemnie swędziały, a w czarnych rankach widać było białe jak cukier

koniuszki nowych zębów – rosły nieprawdopodobnie szybko.

Kula w środku już mi nie przeszkadzała – chociaż wcale nie znikła. Przez noc prawie się do niej przyzwyczailem. Byłem kompletnie zobojętniały, jakby to wszystko spotkało nie mnie, ale jakiegoś innego człowieka, którego obserwowałem z czwartego wymiaru. Nadawało to wydarzeniu przyjemnie nieobowiązujący charakter i wydawało się zapowiedzią nieznaney dotychczas swobody – byłem jednak jeszcze zbyt osłabiony, by się zajmować autoanalizą.

Wziąłem prysznic i zacząłem zwiedzać mieszkanie, zaskoczony jego metrażem i mrocznym przepychem wewnątrz. Oprócz sypialni i pokoju z kartoteką była tu sala kinowa z kolekcją masek na ścianach (weneckie, afrykańskie, chińskie i jeszcze jakieś, których nie potrafiłem zidentyfikować) oraz coś w rodzaju bawialni z kominkiem i fotelami, gdzie na honorowym miejscu stało zabytkowe radio w mahoniowej obudowie.

Był też pokój, którego przeznaczenia nie mogłem odgadnąć – nawet nie pokój, lecz raczej duża komórka z podłogą wysłaną grubymi, miękkimi poduszkami. Ściany pomieszczenia udrapowano czarnym aksamitem z wyobrażeniem gwiazd, planet i słońca (wszystkie ciała niebieskie miały ludzkie twarze – nieprzeniknione i mroczne). Pośrodku komory znajdowała się konstrukcja przypominająca olbrzymie srebrne strzemię: poprzeczka przymocowana do wygiętego metalowego pręta, uczeplonego na zwisającym z sufitu łańcuchu. Ze ściany sterczał metalowy zawór; obracając go, można było opuszczać i podnosić strzemię nad poduszka-

mi. Do czego mogło służyć to urządzenie, nie miałem zielonego pojęcia. Co najwyżej do tego, by ulokować w komorze olbrzymią papugę, lubiącą samotność... Poza tym na ścianach umieszczono jeszcze jakieś białe pudełeczka, podobne do czujników sygnalizacyjnych.

Pokój z kartoteką, w którym zastrzelił się Brahma, trochę już znałem. Spędziłem w nim sporo czasu, czułem więc, że mam prawo obejrzeć go bardziej szczegółowo.

Był to najwyraźniej gabinet do pracy poprzedniego właściciela – chociaż na czym ta praca mogła polegać, trudno powiedzieć. Wyszukawszy na chybił trafił kilka szuflad kartoteki, znalazłem w nich plastikowe pojemniki, pełne próbek zamkniętych czarnymi gumowymi korkami. Każda zawierała dwa, trzy mililitry przezroczystego płynu.

Domyślałem się, co to jest. Mitra z podobnej próbki dał mi skosztować preparatu „Windows chr-r”. Zapewne była to jakaś wampiryczna biblioteka. Próbki oznaczono numerami i literami. Na każdej szufladzie kartoteki również znajdowały się sygnatury – kombinacje kilku liter i cyfr. Najwyraźniej biblioteka miała swój katalog.

Na ścianie wisiały dwa obrazy, akty. Na pierwszym siedziała w fotelu naga dziewczynka w wieku około dwunastu lat. Trochę szpeciło ją to, że miała głowę niemłodego, лыsego Nabokowa; szew na szyi był zasłonięty muszką w stonowane burżuazyjne groszki. Obraz nosił tytuł *Lolita*.

Drugi obraz przedstawiał mniej więcej taką samą dziewczynkę, tylko że skóra jej była bardzo biała, a cycuszków nie miała w ogóle. Na tym obrazie oblicze Nabokowa było całkiem stare i pomarszczone, a muszka maskująca szew niedorzecznie wielka i kolorowa, w jakieś komety, koguty i symbole geograficzne. Ten obraz nazywał się *Ada*.

Dziecięce ciała różniły się pewnymi szczegółami fizycznymi, ale nieprzyjemnie było na nie patrzeć, a nawet budziły strach, gdyż oczy dwóch Nabokowów świdrowały patrzącego baczny i pogardliwym spojrzeniem – ten efekt udało się nieznanemu artyście oddać po mistrzowsku.

Nagle poczułem na szyi leciutki powiew.

– Władimir Władimirowicz Nabokow jako wola i pojęcie – odezwał się za moimi plecami dźwięczny bas.

Obejrzałem się z przestachem. O metr ode mnie stał niewysoki, tęgi mężczyzna w czarnej marynarce, włożonej na ciemny podkoszulek. Oczy miał zasłonięte czarnymi lustrzanymi okularami. Miał około pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu lat, gęste brwi, haczykowaty nos i wysokie łyse czoło.

– Rozumiesz, co artysta chciał przez to powiedzieć? – zapytał.

Pokręciłem przecząco głową.

– Powieści Nabokowa *Lolita* i *Ada* to warianty trzyosobowego łóżka „Władimir z nami”. Taki jest tego sens.

Popatrzyłem najpierw na Lolitę, potem na Adę, i zauważyłem, że jej mlecznobiała skóra jest mocno popstrzona przez muchy.

- Lolita? - powtórzyłem. - Czy to od LOL?  
- Nie rozumiem - rzekł nieznajomy.  
- Laughed out loud - wyjaśniłem. - Termin z sieci.  
W tłumaczeniu to będzie „kupasmiehu” albo „aleja-  
ja”. Czyli że Lolita to dziewczynka, której jest bardzo  
wesoło.

- Tak - westchnął nieznajomy. - Inne czasy, inna  
kultura. Czasem człowiek się czuje jak jakiś muzealny  
eksponat... Czytałeś Nabokowa?

- Czytałem - skłamałem.

- No i co myślisz?

- Bredzenie siwej kobyły - oświadczyłem z prze-  
konaniem.

Taką recenzją nie sposób się było podłożyć, prze-  
konałem się o tym już dawno.

- O, strzał w dziesiątkę - powiedział nieznajo-  
my z uśmiechem. - Koszmar nocny to po angielsku  
*night mare*, „nocna kobyła”. Władimir Władimirowicz  
gdzieś o tym wspomina. Ale dlaczego siwa? A-a-a! Ro-  
zumiem, rozumiem... Najstraszniejszym z koszmarów  
jest bezsenność... O bezsenności, wzrok twój przygnę-  
bia i straszy... *Insomnia, your stare is dull and ashen...*  
Szary jak popiół, siwy...

Uprzytomniłem sobie, że wejście kuchenne cały  
czas pozostawało otwarte. Widocznie do mieszkania  
zabłądził wariat.

- Cała historia Rosji - ciągnął nieznajomy - osy-  
puje się w dziurę tego nocnego koszmaru... A przede  
wszystkim ta nagłość przejścia od maligny do jej ucie-  
leśnienia. Siwy koniku... Zaczęło się od koszmaru, od  
bredzenia siwej kobyły - i proszę, od razu Budionny  
na krymskim wzgórzu. I pejcz, i kulki rzepu...

Zapatrzył się gdzieś w przestrzeń.

A może to i nie wariat, pomyślałem.

- Niezupełnie rozumiem - odezwałem się uprzejmie - dlaczego powieści pisarza Nabokowa to trzyosobowe łóżko?

- Dlatego, że między kochankami w jego książkach zawsze leży on sam. I co chwila rzuca jakąś subtelną myśl, żeby ściągnąć uwagę na siebie. To nieuprzejmość w stosunku do czytelnika, jeśli ten nie jest gerontofilem... Wiesz, jaka jest moja ulubiona erotyczna książka?

Byłem oszołomiony bezceremonialnością nieznanego.

- Nie - powiedziałem.

- *Nieumiałek na Księżycu*. Tam w ogóle nie ma ani słowa o erotyce. Właśnie dlatego *Nieumiałek* to najbardziej erotyczny tekst dwudziestego wieku. Czytasz i wyobrażasz sobie, co wyprawiały te ludziki w swojej rakiecie w czasie długiego lotu na Księżyc...

Nie, pomyślałem, to z całą pewnością nie wariat. Przeciwnie, to bardzo mądry człowiek.

- Tak - odparłem - ja też o tym myślałem, jak byłem mały. Ale kim pan jest?

- Nazywam się Enlil Maratowicz.

Podał mi papierową chusteczkę.

- Masz mokro na szyi. Wytrzyj.

Nic nie czułem, ale zrobiłem, jak kazał. Na chusteczce zostały dwie plamki krwi wielkości kopiejki. Od razu zrozumiałem, dlaczego zaczął mówić o ludzikach.

- Pan też... Tak?

- Inni tu nie przychodzą.

- Kim pan jest?

- W świecie ludzi byłbym uważany za szefa - odrzekł Enlil Maratowicz. - A wampiry nazywają mnie po prostu koordynatorem.

- Rozumiem - powiedziałem - a ja już się bałem, że pan jest wariatem. Bezsenność. Nabokow na Księżycu... W ten sposób odwraca pan uwagę? Żeby nie zauważono ukąszenia?

Enlil Maratowicz uśmiechnął się krzywo.

- Jak się czujesz?

- Tak sobie.

- Szczerze mówiąc, wyglądasz bardzo mizernie. Ale tak jest zawsze. Przyniosłem ci maść, nasmarujesz sobie na noc siniaki i do rana wszystko zniknie. Przyniosłem ci też wapno w tabletkach - codziennie musisz zażywać piętnaście sztuk. To na zęby.

- Dziękuję.

- Widzę - rzekł Enlil Maratowicz - że nie jesteś zbyt zachwycony tym, co ci się przydarzyło. I nie kłam, nie musisz. Ja wiem. Wszystko przebiega normalnie. A nawet świetnie. To oznacza, że jesteś dobrym człowiekiem.

- Czyż wampir powinien być dobrym człowiekiem?

Enlil Maratowicz wysoko uniósł brwi.

- Oczywiście! - powiedział. - A jakżeby inaczej?

- Ale przecież... - zacząłem, ale nie dokończyłem.

Chciałem powiedzieć, że wcale nie potrzeba być dobrym człowiekiem, żeby pić cudzą krew, ba, wręcz

przeciwnie – ale pomyślałem, że zabrzmi to nieuprzejmie.

– Nie rozumiesz, Rama – powiedział Enlil Maratowicz – kim my rzeczywiście jesteśmy. Wszystko, co wiesz o wampirach, to nieprawda. Zaraz ci coś pokażę. Chodź ze mną.

Poszedłem za nim do pokoju z kominkiem i fotelami. Enlil Maratowicz zbliżył się do kominka i wskazał wiszącą nad nim fotografię nietoperza. Zdjęcie zrobiono z bardzo bliska. Nietoperz miał czarne paciorkowate oczka, sterczące psie uszy i pomarszczony nos, przypominający świński ryjek. Wyglądał jak skrzyżowanie prosiaka i psa.

– Co to? – spytałem.

– To jest *Desmondus rotundus*. Nietoperz wampir. Występuje w Ameryce, w pasie równikowym. Żywi się czerwoną ciecżą z ciał dużych zwierząt. Żyje całymi rodzinami w starych jaskiniach.

– Dlaczego pan mi go pokazuje?

Enlil Maratowicz usiadł w fotelu i wskazał mi gestem miejsce naprzeciw.

– Słuchając bajek, które opowiadają w Ameryce Środkowej o tym małym stworzeniu – powiedział – można by pomyśleć, że nie ma na świecie straszniejszej istoty. Powiedzą ci, że ten nietoperz to stwór z piekła rodem. Że może przybierać postać człowieka, by zawlec ofiarę w zarośla. Że stada tych nietoperzy potrafią zagryźć na śmierć błędzącego w lesie. Znalazłszy jaskinię zamieszkaną przez nietoperze wampiry, ludzie wykurzają je dymem. Albo w ogóle wysadzają wszystko dynamitem...

Popatrzył na mnie tak, jakby oczekiwał, że coś na to odpowiem. Nie wiedziałem jednak co.

- Ludzie z niepojętych przyczyn uważają się za nosicielei dobra i światła - ciągnął. - A wampiry, według nich, to mroczne płody zła. Ale jeśli się przyrzyć faktom... Spróbuj mi podać choć jeden dowód na to, że ludzie są lepsi od nietoperzy wampirów.

- Może - odezwałem się - ludzie są lepsi, bo pomagają sobie nawzajem?

- Ludzie robią to wyjątkowo rzadko. A nietoperze wampiry pomagają sobie zawsze. Dziela się pokarmem, który przynoszą do domu. Co jeszcze?

Nic więcej nie przyszło mi do głowy.

- Człowiek - powiedział Enlil Maratowicz - to najpodlejszy i najbardziej bezmyślny zabójca na ziemi. Dla żadnego z otaczających go żywych stworzeń nie zrobił nic dobrego. A co się tyczy złego... Chyba nie muszę wyliczać?

Pokręciłem przecząco głową.

- A to małe zwierzątko, które człowiek uczynił symbolem swoich skrywanych lęków, nie zabija w ogóle nikogo. Nawet nie robi poważnej krzywdy. Precyzyjnie przecina skórę siekaczami i wypija swoje dwa mililitry, ani trochę więcej czy mniej. Cóż to za krzywda, powiedzmy, dla byka czy konia? Albo dla człowieka? Upuszczenie z żył odrobiny czerwonej cieczy medycyna uważa nawet za korzystne. Odnotowano na przykład przypadek, kiedy nietoperz wampir ocalił umierającego na febrę katolickiego zakonnika. Ale - tu pouczająco podniósł palec - nie odnotowano żadnego przypadku, kiedy katolicki zakonnik uratował umierającego na febrę nietoperza...

Trudno było z tym dyskutować.

- Zapamiętaj, Rama: wszystkie wyobrażenia ludzi o wampirach są fałszywe. Wcale nie jesteśmy złymi potworami, jak nas przedstawiają...

Popatrzyłem na zdjęcie nietoperza. Jego kosmata mordka rzeczywiście nie wydawała się groźna - była raczej mądra, wrażliwa i trochę przestraszona.

- Kim wobec tego jesteśmy? - spytałem.

- Wiesz, co to jest łańcuch troficzny? Albo, jak go niekiedy nazywają, łańcuch pokarmowy?

- W rodzaju McDonald'sa?

- Niezupełnie. McDonald's to *fast food chain*, „sieć barów szybkiej obsługi”. A *food chain*, czyli po prostu „łańcuch pokarmowy”, to rośliny i zwierzęta, związane ze sobą nawzajem relacją „pokarm-konsument pokarmu”. Jak królik i wąż boa, jak żuk kowal i żaba...

Uśmiechnął się i mrugnął do mnie.

- ...albo jak żaba i Francuz. No, albo jak Francuz i mogilny robak. Uważa się, że ludzie stanowią wierzchołek piramidy, ponieważ mogą jeść wszystko, co chcą, kiedy chcą, jak chcą i w jakich chcą ilościach. Na tym opiera się ludzkie wysokie mniemanie o sobie. W rzeczywistości zaś łańcuch pokarmowy ma jeszcze wyższy poziom, o którym większość ludzi nie ma pojęcia. To my, wampiry. Jesteśmy najwyższym ogniwem na ziemi. Przedostatnim.

- A jakie jest ostatnie ogniwo? - spytałem.

- Bóg - odrzekł Enlil Maratowicz.

Nic na to nie odpowiedziałem, tylko wcisnąłem się w fotel.

- Wampiry są nie tylko najwyższym ogniwem łańcucha pokarmowego - ciągnął Enlil Maratowicz. - Są też ogniwem najbardziej humanitarnym. Ogniwem wysoce moralnym.

- Ale mnie się wydaje - wtrąciłem - że to jednak nieładnie pasożytować na innych.

- A czy lepiej jest pozbawiać zwierzę życia, aby zjeść jego mięso?

Znów nie wiedziałem, co odrzec.

- Czy bardziej humanitarnie - podjął Enlil Maratowicz - jest doić krowy, aby pić ich mleko, czy zabijać je, by z nich zrobić kotlety?

- Doić.

- Oczywiście. Zgodziłby się z tym nawet hrabia Lew Nikołajewicz Tołstoj, który wywarł wielki wpływ na wampiry. I wampiry, Rama, tak właśnie postępują. My nikogo nie zabijamy. W każdym razie w celach gastronomicznych. Działalność wampirów przypomina raczej hodowlę bydła mlecznego.

Pomyślałem, że trochę przegina - zupełnie jak Mitra.

- Tych rzeczy nie można porównywać - powiedziałem. - Ludzie hodują krowy specjalnie. A poza tym w ogóle sztucznie je wyhodowali. W dzikiej przyrodzie tak nie ma. Wampiry przecież nie hodują ludzi, prawda?

- Skąd wiesz?

- Chce pan powiedzieć, że wampiry sztucznie wyhodowały człowieka?

- Tak - odparł Enlil Maratowicz. - Właśnie to chcę powiedzieć.

Pomyślałem, że żartuje. Ale jego twarz była całkowicie poważna.

- A jak wampiry to zrobiły?

- I tak niczego nie zrozumiesz, dopóki nie zgłębisz glamouru i dyskursu.

- Nie zgłębię czego?

Enlil Maratowicz roześmiał się.

- Glamouru i dyskursu - powtórzył. - To dwie najważniejsze wampiryczne dziedziny nauki. Widzisz, nawet nie wiesz, co to takiego. A próbujesz roztrząsać tak skomplikowane materie. Kiedy zdobędziesz odpowiednie wykształcenie, sam ci opowiem o historii stworzenia i o tym, jak wampiry spożytkowują ludzkie zasoby. Teraz po prostu tracilibyśmy czas.

- A kiedy zacznę się uczyć glamouru i dyskursu?

- Od jutra. Przedmioty te będą wykładać dwaj nasi najlepsi specjaliści, Baldur i Jehowa. Przyjdą do ciebie rano, więc połóż się wcześniej spać. Masz jeszcze jakieś pytania?

Zamyśliłem się.

- Mówi pan, że wampiry wyhodowały ludzi. To dlaczego ludzie uważają je za złe potwory?

- To ukrywa prawdziwy stan rzeczy. A poza tym tak jest śmieszniej.

- Ale przecież człekokształtne naczelne istnieją na ziemi wiele milionów lat. A człowiek - setki tysięcy. Więc jak wampiry mogły go wyhodować?

- Wampiry żyją na ziemi niewyobrażalnie długo. I ludzie bynajmniej nie są pierwszym ich pokarmem. Ale teraz, powtarzam, za wcześniej o tym mówić. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Mam - potwierdziłem. - Ale nie wiem, może pan znów powie, że za wcześnie o tym mówić.

- Spróbuj.

- W jaki sposób wampir czyta myśli innego człowieka? Kiedy ssie jego krew?

Enlil Maratowicz skrzywił się.

- „Kiedy ssie jego krew” - powtórzył. - Fuj. Zapamiętaj sobie, Rama, my tak nie mówimy. Mało, że to wulgarne, ale może jeszcze urazić uczucia niektórych wampirów. Przy mnie nie musisz się krępować. Sam potrafię rzucić jędrnym słówkiem. Ale inni - wskazał brodą gdzieś w bok - tego ci nie wybaczą.

- To jak mówią wampiry?

- Wampiry mówią „podczas degustacji”.

- Dobrze. W jaki sposób wampir czyta myśli drugiego człowieka podczas degustacji?

- Interesuje cię metoda praktyczna?

- Metodę już znam - odparłem. - Chodzi mi o objaśnienie naukowe.

Enlil Maratowicz westchnął.

- Widzisz, Rama, każde objaśnienie jest funkcją istniejących wyobrażeń. Jeśli jest to objaśnienie naukowe, to zależy od wyobrażeń istniejących w nauce. Na przykład, w wiekach średnich uważano, że dżumą można się zarazić przez pory ciała. Dlatego w celach profilaktycznych ludziom zakazywano chodzić do bani, gdzie pory się rozszerzają. A teraz nauka uważa, że dżumę przenoszą pchły, i w celach profilaktycznych zaleca się ludziom chodzenie do łaźni jak najczęściej. Zmieniają się wyobrażenia, zmienia się i konkluzja. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową.

- A więc - podjął Enlil Maratowicz - we współczesnej nauce nie ma wyobrażeń, na których można by się było oprzeć, by naukowo odpowiedzieć na twoje pytanie. Mogę to objaśnić tylko na przykładzie z innej dziedziny, którą znasz... Znasz się przecież na informatyce?

- Trochę - odrzekłem skromnie.

- Znasz się, i to niezłe - widziałem. Przypomnij sobie, dlaczego firma Microsoft tak się starała wyprzeć z rynku przeglądarkę internetową Netscape?

Zrobiło mi się przyjemnie, że mogę błysnąć erudycją.

- W tym czasie nikt nie wiedział, jak będą się rozwijać komputery - powiedziałem. - Istniały dwie koncepcje. Zgodnie z pierwszą, cała informacja osobista użytkownika miała być przechowywana na twardym dysku. Według drugiej zaś, komputer miał się stać po prostu urządzeniem umożliwiającym łączność z siecią, a informacja miała być przechowywana w sieci. Użytkownik podłączał się do końcówki, wprowadzał hasło i otrzymywał dostęp do swoich zasobów. Gdyby zwyciężyła ta koncepcja, monopolistą na rynku zostałby nie Microsoft, ale Netscape.

- Właśnie! - powiedział Enlil Maratowicz. - Otóż to! Ja sam nigdy bym tego tak jasno nie sformułował. Teraz wyobraź sobie, że ludzki mózg to komputer, o którym nikt nic nie wie. Obecnie uczeni uważają, że jest on podobny do twardego dysku, na którym zapisano wszystko, co człowiek wie. Może się jednak okazać i tak, że mózg to po prostu modem łączący

z siecią, gdzie przechowywana jest informacja. Możesz to sobie wyobrazić?

- W zasadzie tak - odparłem. - Mogę.

- No, a dalej wszystko jest proste. Kiedy użytkownik otrzymuje dostęp do swoich zasobów, wprowadza hasło. Jeżeli przechwycisz to hasło, możesz korzystać z cudzego serwera jak z własnego.

- Aha. Rozumiem. Chce pan powiedzieć, że hasło to jakiś szyfr informacyjny, zawarty we krwi?

- Proszę cię, nie używaj tego słowa - rzekł z grymasem odraży Enlil Maratowicz. - Odstwyczajaj się od samego początku. Zapamiętaj sobie - w piśmie możesz używać słowa na „k”, ile chcesz, to normalne. Ale wymawianie go wampiry uważają za nieprzyzwoite i niedopuszczalne.

- To co mam mówić zamiast słowa na „k”?

- Czerwona ciecz - powiedział Enlil Maratowicz.

- Czerwona ciecz? - powtórzyłem. Już kilka razy słyszałem to określenie.

- To amerykańizm - wyjaśnił Enlil Maratowicz. - Wampiry anglosaskie mówią *red liquid*, a my to kopiujemy. To jest w ogóle długa historia. W dziewiętnastym wieku mówiono „fluid”. Potem zaczęto to uważać za nieprzyzwoite. Kiedy w modę weszła elektryczność, zaczęto mówić „elektrolit” albo po prostu „elektro”. Potem to słowo też nabrało ordynarnego zabarwienia i zaczęto mówić „preparat”. Później, w latach dwięćdziesiątych, przyjęło się określenie „roztwór”. No, a teraz „czerwona ciecz”... Kompletny upadek. Ale nie da się iść pod prąd.

Spojrzał na zegarek.

- Jeszcze jakieś pytania?

- Proszę mi powiedzieć, co to za komórka z wie-  
szakiem? - zapytałem.

- To nie komórka - odrzekł Enlil Maratowicz.  
- To jest hamlet.

- Hamlet? - powtórzyłem. - Z Szekspira?

- Nie. Nazwa pochodzi od angielskiego *hamlet*,  
mała wioska bez kościoła. Azyl bez błogosławieństwa,  
że się tak wyrażę. Wiąże się to z nieco wstydlwym  
i bardzo, ale to bardzo urzekającym aspektem naszego  
życia. Ale o tym dowiesz się później. - Wstał z fotela.  
- A teraz na mnie naprawdę już czas.

Odprowadziłem go do drzwi.

Na progu odwrócił się, skłonił ceremonialnie, po-  
patrzył mi w oczy i powiedział:

- Cieszymy się, że znów jesteś z nami.

Drzwi się za nim zamknęły.

Zrozumiałem, że te ostatnie słowa nie były adreso-  
wane do mnie. Były adresowane do języka.